Rozmyślania

Wojtek i Tadzio

Wszyscy obawiają się śmierci, zostaliśmy bowiem stworzeni do życia, a nie do umierania. Kiedy jednak ludzie umierają, to najprawdopodobniej najpierw zamieniają się w drzewa, a dopiero później pochłania ich proch ziemi, ten swoisty dech życia pozaziemskiego, który tak naprawdę jest iskrą życia, siłą witalną, która pcha człowieka do działania – tu, na Ziemi...

Czas pandemii, to jednocześnie czas, kiedy myślimy jakoś więcej o życiu naszym i tych, którzy byli i są nam bliscy. Zastanawiamy się co tak naprawdę liczy się w życiu, co jest ważne, o co warto zabiegać i o co walczyć. Bo nagle wszystko to, co do tej pory nas pochłaniało, stało się mało istotne, wręcz zupełnie niepotrzebne...

Ostatnio dużo ludzi od nas odchodzi... za dużo... Nagle, niespodziewanie, tragicznie. Rozmyślam więc o ludziach, z którymi los pozwolił mi spotykać się, a których nie ma już wśród nas, z którymi byłem bardzo blisko związany, z którymi często spotykałem się prywatnie, tak bez żadnych zobowiązań, po prostu, po przyjacielsku. Zostawili jednak po sobie pamięć, pamięć taką, która przetrwała...

Andrzej Dębkowski

Właśnie mija dziesięć lat od tragicznej śmierci **Wojciecha Simiona**, wybitnego polskiego aktora i recytatora poezji. Najwspanialszego przyjaciela poezji i poetów. Był ostatnim takim, co dbał o kulturę ludową. A robił to jak nikt inny dotąd.

Wojtka poznałem dwadzieścia pięć lat temu w Brzegu. W hotelu „Piast". Obaj uczestniczyliśmy w imprezie „Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich" – organizowanej przez Janusza Wójcika – i tak się stało, że nasze pokoje hotelowe znalazły się obok siebie. Po ciężkim – w wydarzenia artystyczne i literackie – dniu, gdzieś około godziny 22.00, może 22.30, Wojtek zapukał do moich drzwi powiedział, że nikogo tutaj nie zna (mnie zresztą wtedy też nie znał), a ponieważ jesteśmy uczestnikami tego samego przedsięwzięcia literackiego, i mamy pokoje obok siebie, więc zaprasza mnie do siebie na rozmowy o poezji i... „pomarańczówkę"... Byłem zdziwiony, ale trudno było odmówić takiemu człowiekowi. Do końca życia nie zapomnę tego spotkania. Nasze rozmowy trwały chyba do godzin rannych, a ja już nigdy więcej nie dowiedziałem się tak wiele o poezji, ile podczas tamtej nocy. Wojtek opowiadał, wspominał i... recytował, recytował i... recytował. Słuchałem tego wykładu, jak najęty, z wypiekami na twarzy. On: profesor i jego jedyny wtedy student-słuchacz... W końcu zabrakło Wojtkowej pomarańczówki, więc „egzamin" odbył się już w moim pokoju, przy whisky... To właśnie tam, w pokojach hotelu „Piast", chyba jako jeden z pierwszych wysłuchałem namiastki tego, co później ukazało się drukiem w jego świetnej serii „Lekcja czytania". A opublikował przecież interpretacje z Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Gałczyńskiego, Wata, Reja, Białoszewskiego, Różewicza...

A później, w następnych latach, było wiele, wiele spotkań i rozmów: w Petrykozach, Zelowie, Warszawie i wszędzie tam, gdzie „zagnał" nas literacki los. Były listy, telefony i życzenia: świąteczne, urodzinowe, imieninowe i takie bez powodu, kiedy Wojtek zadzwonił i powiedział: „Andrzeju, wpadnij do mnie, do Petrykoz, muszę z kimś pogadać". Więc wsiadałem w samochód i pędziłem „gierkówką" w kierunku Mszczonowa... Podobnie zadzwonił przed Jego osiemdziesiątymi urodzinami. Szykował swój benefis i prosił mnie o pomoc w jego przygotowaniu. To były niezapomniane urodziny, a Wojtek w wyśmienitej formie. Myślę, że wszyscy uczestnicy tej biesiady zazdrościli mu żywotności, tego wigoru i tego, co u niego było najważniejsze: wielkiego serca i ciepła, jakim każdego obdarowywał.

Wojtek Siemion zawsze podkreślał swoje chłopskie pochodzenie, był miłośnikiem polskiego folkloru. W swoim staropolskim dworku w Petrykozach utworzył Wiejską Galerię Sztuki. Jego miłość do kultury ludowej była tak wielka, że nawet większość jego filmowych bohaterów, których grał, miało chłopskie pochodzenie.

Foto: Andrzej Dębkowski

Jednak jego największą miłością była poezja, której poświęcał mnóstwo czasu. Ciągle powtarzał, że „tylko poezja pozwala nam tworzyć to coś, co nazywa się odrębnością narodową. Jeżeli chcemy czuć wspólność narodową, która określa się słowami »Jestem Polakiem«, nie wolno zapominać o tym, że głównym wyznacznikiem naszej odrębności jest język, a ten kształtują nam przede wszystkim poeci...".

Foto: Andrzej Dębkowski

Kilka miesięcy przed tragiczną śmiercią omówiliśmy z Wojtkiem Jego udział w moim benefisie. Planowaliśmy już, jakie wiersze będzie czytał. Zadzwonił i powiedział, że ma być także ten, który poświęciłem Tadziowi Cugowowi. Niestety, Wojtek do Zelowa więcej nie przyjechał. Razem z Tadziem, czytają już wiersze na „Niebiańskiej Biesiadzie Literackiej"...

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow zmarł dwa lata wcześniej. Ktoś mógłby powiedzieć, że umarł, bo każdy musi umrzeć. To prawda, ale umarł człowiek, który już za życia stał się legendą... Kto nie znał Cugowa osobiście, ten może żałować, że więcej nie będzie mu już dane widywać człowieka, dla którego najważniejsze były trzy słowa: poezja, patriotyzm i przyjaźń. Poezję kochał, patriotyzm szerzył, a jeżeli już się z kimś przyjaźnił, to na całego... Co więc trzeba było zrobić, aby zaskarbić sobie jego przyjaźń? Nic. Po prostu nie można było udawać – niczego. Miał więc tych przyjaciół sporo. Był i Edward Stachura, i Janek Himilsbach, i wielu, wielu innych. Każdy z nich osobny – niezwykle „kolorowy". Miał znajomych wśród polityków i zwykłych meneli. Potrafił być szarmancki, a jak trzeba było to chamski do bólu. Nie znosił udawania, chociaż powtarzał, że każdy powinien grać swoją ziemską rolę najlepiej, jak tylko potrafi. Tadzio był w tym mistrzem...

Foto: Andrzej Dębkowski

Ostatnie zdjęcie, jakie zrobiłem Tadziowi.
Poznań, 8 listopada 2007, godz. 23.14...

(Dokończenie na stronie 24)